Nr. 37. We Lwowie dnia 10. Września 1899. Rok 7

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

1)

BOLESŁAW PRUS.

Ze wszystkich darów, jakimi natura genjusz twórczy obdarzyła, najcenniejszy jest humor. Cóż — to za talent, w którym brak uśmiechu? Istotnie wszystkie najwyższe dzieła geniuszów — są to dzieła uśmiechnięte. Z pobłażliwym uśmiechem na twarzy — spogląda olbrzym na rojowiska człowiecze — i sercem pełnem współczucia i przebaczenia waży ich sprawy, ich spory, ich troski, ich radość i grzechy; jak Guliwer — społeczność liliputów, tak Homer opisuje wojny Greków, Ariosto walki rycerzy średniowiecznych, Szekspir bohaterów swoich komicznych, Adam Mickiewicz — kłótnie szlachty zaściankowej, Juliusz Słowacki — Grabca i Ślaza. Wszyscy ci autorzy pisali z uśmiechem: w uśmiechu jest miłość, pobłażliwość, dobroć. Genjusz przypatruje się drobnym sprawom ludzkim z wyżyny, w której znika ostre napięcie zjawisk społecznych, wszystko się owszem w łagodne tony układa; to co jest brutalne i trywjalne — ukazuje się pod swoim kątem właściwym — wiekuistego dzieciństwa ludzkości. Humor widzi ludzkość zawsze jako gromadę dzieci; tak samo dobra matka — choćby syn był już dojrzałym człowiekiem, napomina go niekiedy tak, jakby ten jeszcze się uczył abecadła: i matka i syn wnet spostrzegą swoją omyłkę, ale ta omyłka tylko uśmiech wywoła na ich twarzy; będzie to uśmiech serdeczny, w którym wszystka ich tyloletnia miłość nową siłę pozyska i nowe ciepło. — Miłość jest przebaczeniem; kto miłuje, ten wszystkie wady ukochanego przedmiotu uwzględni — i pomimo tych wad, i dla tych wad nawet kochać go będzie: tak kocha matka swe dziecię, tak genjusz kocha ludzi. —

Istnieją wady i błędy w rodzaju ludzkim, które wywołują gniew, oburzenie, szał święty proroków; które wywołują ogniste, juwenalowskie bicze satyry zgryźliwej i namiętnej i tu miłość ludzi przechodzi w formy gwałtowne, i przybiera postać pogardy, nienawiści nawet, tej nienawiści, o której Zola powiada: Nienawiść jest święta!

Są wady inne, drobne, codzienne sprawy, wywołujące starcia między ludźmi, ale te starcia nie prowadzą do krwawych wyników: te sprawy drobne, które mędrcowi zdają się czemś dziecinnem, zapełniają jednak najznaczniejszą część życia większości ludzi, stanowią ich najważniejszy interes, najgoręcej poruszają ich drobne namiętnostki, drobne ambicyjki, drobne ich pożądania, Nie satyra zgryźliwa i namiętna, ale humor łagodny i pobłażliwy wyławia z życia te małe troski małych ludzi, które jednak dla nich są równie wielkie jak wielkie troski dla wielkich ludzi. Pisarze są różnego rodzaju: jedni, unosząc się nad rzeczywistością, omijają jej szczegóły, drobiazgi, trywialności i wyciągają z życia ogólne widzenie zjawisk, dają typy łączące w sobie cechy ludzi rzeczywistych, lecz które same nie są rzeczywiste: takim jest Faust, Manfred, Gustaw, Kordjan, Lesław, hrabia Henryk i Pankracy. Pisarze ci mają nastrój wysoki, patetyczny, jakby proroczy, czasami gorzką ironją przepleciony. Tragedja wybiera takie postaci, ogromne i podniosłe, straszliwe i wielkie — wielkie zarówno w cnocie jak i zbrodni. — Satyra spiżowa, której przedstawicielem był Juwenalis i Wiktor Hugo, jest również formą tego wysokiego patosu, w którym się przedewszystkiem wyraża pogarda i nienawiść dla rzeczywistości. Ale są umysły, które właśnie najgoręcej kochają rzeczywistość, kochają smutki i żałości, pragnienia i uczucia ludzi małych: z nimi się śmieją, z nimi płaczą, z nimi tęsknią, z nimi pragną.

Wszystkie dusze ludzkie są równe; każda stanowi świat osobny; w każdej odbywają się walki i starcia, budzą się tęsknoty i pragnienia, krążą radości i smutki, które dla tej duszy streszczają w danej chwili świat cały. Dla małej dziewczynki rozbicie lalki jest zmartwieniem równie ważnem, jak dla dowódcy utrata armaty; dla młodego parobka kłótnia z jego dziewczyną, jest sprawą nie mniej ważną, jak spór graniczny między dwoma państwami.

Humorysta kocha rzeczywistość: to co w niej płaskie, drobne, małe, trywjalne, ukazuje mu się

jako fatalność samej natury ludzkiej, ale on i tę fatalność kocha. W tragizmie nawet samym znajdzie on treść humorystyczną: obok króla Leara postawi jego błazna.

Każdy wielki poeta jest humorystą: uśmiechał się bosko Homer ślepy a natchniony; uśmiechał się Ariosto, uśmiechali się, Szekspir, Byron, Goethe, Mickiewicz, Słowacki... Byli — wyjątkowi pisarze, jak Dante, jak Krasiński, jak Wiktor Hugo, u których uśmiech rzadki, albo nie masz go wcale; nie miał humoru Balzac, nie miał go Flaubert, nie ma Zola: ale też we wszystkich tych autorach czujemy brak jednej struny, brak serdecznej tkliwości.

Są znów poeci, u których nuta humoru jest dominującą: Cervantes i Molière, Sterne i Krasicki, Dickens i Thaekeray, Jean Paul i Daudet, Eleonora Sztyrmer i Lam.

Do tego szeregu należy Bolesław Prus. Jest on humorystą w najlepszem znaczeniu tego wyrazu: on uśmiech budzi w czytelniku, a zarazem wzrusza do głębi, jego serce ogarnia wszystkie cierpienia ludzi i współczuje im bezgranic, a przedewszystkiem rozczulają go cierpienia istoty małych: dzieci, ludzi prostych, szczerych i naturalnych: t e n o g r o m s e r c a, t o o b e j m o w a n i e w s z e c h s t r o n n e l u d z k i c h c i e r p i e ń i r a d o ś c i, s t a n o w i c e c h ę g ł ó w n ą i i s t o t n ą P r u s a. On kocha ludzi, a przedewszystkiem swoich ludzi, swoich najbliższych, swoją ziemię, a ponad inne jej punkta kocha Warszawę, jako serce i puls tej ziemi. Do Prusa można zastosować to, co mówi on o jednym ze swych bohaterów, młodym studencie w fantazji »Sen«.

»Spostrzegł, że z jego serca wysnuwają się tysiące promieni, jakby złotych nici, które biegły w stronę ziemi i czepiały się jedne domu rodziców, inne domu, gdzie przepędził dzieciństwo, inne drzew, pod któremi biegał, kamieni, na których siadał, krynicy, skąd pijał wodę. Jeszcze inne serdeczne promyki zahaczały o jego kolegów, o ulubione książki, o znajome panny, a nawet o gazety i paradyz w teatrze. Były to wszystko przedmioty i ludzie, których kochał. Dzięki zaś promieniom czy nitkom, co połączyły go z nimi, j e g o w ł a s n e ż y c i e w t e j c h w i l i s p o t ę ż n i a ł o m u t y s i ą c r a z y«.

Uważajmy na ton tego urywku, a zrozumiemy Prusa. Serce studenta rozszerza się i ogromnieje, ścierając się nie z jakąbądź metafizyczną określoną doktryną, naukową czy religijną, filozoficzną, czy socjalną — tylko z najprostszem zjawiskiem miłości najprostszych przedmiotów, jakie w życiu spotykamy, a które jednak są nam najdroższe. I z serca Prusa wysnuwają się tysiące złotych promieni, nitek słonecznych, które go wiążą ze światem zewnętrznym, ale te nici i te promienie daleko szersze koła obejmują, one się czepiają chat wieśniaczych, izb rzemieślniczych, pokoików studenckich, i tych, gdzie młode dziewczęta roją swoje dumki, i straganu przekupnia, i izby szkolnej, i pracowni uczonego, i salonu, w którym grzech i wesołość panują, pałacu i rudery, pól złocistych, lasów ciemnych, rozmyślań o duszy, rozważań budowy świata, wynalazczych pomysłów, rojeń społecznych, smutków dziecięcych, żądzy światła maluczkich i tysiąca innych zjawisk, których suma stanowi całość najżywotniejszych spraw kraju. Istotnie wśród najnowszych pisarzy nie ma może żadnego, któryby tak, jak Prus, okiem czujnem i sercem gorącem ogarniał najżywotniejsze, najrdzenniejsze interesa ziemi rodzinnej. Wrażliwość jego jest niesłychana: co w danym momencie cały kraj odczuwa, w nim się ogniskuje i łączy w śmiech i łzy — i w obrazy, który co najszersze koła społeczne, co najróżniejsze warstwy malują.

A. Lange.

Szkice z nad Niewiaży.

5)

W reskrypcie dozwolono szlachcie każdej z trzech gubernij litewskich wybrać w powiatach delegatów oraz ich zastępców, którzy mieli wypracować miejscowy projekt reformy wraz z dwoma przedstawicielami rządu, mianowanymi z pośród miejscowych właścicieli ziemskich; już w r. 1858 gubernator kowieński zawiadomił wyższą władzę, że marszałkowie szlachty z uznaniem i wdzięcznością dowiedzieli się o dozwoleniu carskiem i że pomimo wszelkich trudności wywiążą się z włożonych na nich obowiązków, zachowując — o ile można — gospodarstwo rolne od strat.

Do komitetu wileńskiego wybrano od powiatów: Kowieńskiego — Burbę i Giejsztora, Wilkomierskiego — Juliusza Pomarnackiego i Medarda Kończę, Nowo-Aleksandrowskiego — Edwarda Romera i Franciszka Leduchowskiego, Poniewieckiego — Karola Grotuza i Ludwika Ropa,

Rosieńskiego — Franciszka Giedgowda i Jana Grużewskiego, Szawelskiego — Walerjana Janczewskiego i Karola hr. Kejzerlinga oraz Telszewskiego — Kleofasa Dymszę i Tytusa Gadona; z urzędu wielkorządca wileński zamianował ks. Ireneusza Ogińskiego i Feliksa Siesickiego. Ci ludzie mieli razem wypracować projekt reformy; śród nich niebawem wyróżnili się głębokością i przezornością patrjotyczną Giejsztor, Janczewski, Dymsza i Grotuz, ale na pierwszem miejscu postawić należy Giejsztora. Przeciwnicy ich żądali minimum ograniczenia władzy patrymonjalnej, a o nadaniu ziemi włościanom ani słyszeć nie chcieli; do nich należeli głównie ks. Ogiński*) i Burba. Godnymi uwagi są pomysły i wnioski Giejsztora; wychodząc z tradycji Kościuszkowskich, twierdził on, że włościanie są wolni prawnie od daty połanieckiego manifestu Kościuszki, popartego odezwą do ludu żmudzkiego w marcu 1831 r. w imieniu rządu narodowego, zapewniającą zniesienie poddaństwa; prawna więc strona kwestji była wedle niego już przesądzoną. Pozostawała tylko faktyczna; słowem — wedle niego oraz Janczewskiego i Dymszy — poddaństwo istniało tylko faktycznie, nie zaś prawnie. Dalej, wychodząc z tego faktu, Giejsztor żądał, by szlachta sama dobrowolnie usamowolniła włościan, nadając im wolność i ziemie uprawiane przez nich; mniemał on, że szlachta może to zrobić, albowiem w oczach rządu posiada ona niewątpliwe prawo do całej ziemi i pracy ludu, zamieszkującego w jej dobrach. Kwestję odszkodowania właścicieli pozostawiał on otwartą, przypuszczając możność niejakiego wynagrodzenia w drodze ugody polubownej. Przyjęcie tego wniosku pociągnęłoby skutki nieobliczone, albowiem słowa Zygmunta Krasińskiego: »Jeden tylko, jeden cud, z szlachtą polską polski lud!« — stałyby się wówczas rzeczywistością z małą zamianą przymiotnika polski na litewski. Tego ustępu nie trzeba tłómaczyć: mówi on sam zbyt jasno i wyraźnie. Rozumie się — wniosek Jakóba Giejsztora został odrzucony, chociaż prawie trzecia część głosów padła za nim; interes prywatny wziął górę nad publicznym, ale szlachta na tem bardzo źle wyszła: reformę przeprowadzono z góry z wielką krzywdą dla naszego narodu, druzgocąc materjalnie szlachtę, o ile to się udało i o ile było można, ale o tem — potem. Komitet kowieński wykończył swój projekt, usamowalniając włościan i ustanawiając rodową formę własności włościańskiej, zgodnie z prawem zwyczajowem ludu litewskiego; ta zasada była bardzo słuszną i powoli doprowadziłaby do powstania klasy zamożnych włościan właścicieli, władających gruntami na prawie własności osobistej, ale wypadki późniejsze zmieniły w pewnym stopniu postać rzeczy. Wytwarzając w celach politycznych niesłychany bezład w stosunkach agrarnych, urzędnicy rosyjscy uniemożliwili w dalszym stopniu rozwój ekonomicznych pojęć ludu lubo cel ten nie zupełnie został osiągnięty. Wracam jednak do dalszych dziejów reformy włościańskiej. Do wileńskiej głównej komisji litewskiej wybrano od gub. Kowieńskiej pp. Franciszka Giedgowda, Kleofasa Dymszę i Walerjana Janczewskiego; wielkorządca wileński zamianował jej członkiem z pośród właścicieli ziemskich hr. Rejnholda Tyzenhauza, polaka. Komisja kowieńska została rozwiązaną 19 (7) stycznia 1859 r. W Kownie jednak sformowano osobny urząd zbiorowy, którego celem było wprowadzić w czyn i wykonać prawo o usamowolnieniu włościan, gdy zapadnie ono; do tego urzędu z wyborów weszli: pp. Kleofas Dymsza i Jakób Giejsztor; prezesem był gubernator ówczesny, Stanisław Chomiński, sekretarzem zaś — jego starszy urzędnik do szczególnych zleceń — p. Tadeusz Korzon, nasz znakomity historyk. Ta właśnie komisja, zaraz po uchwaleniu prawa z dnia 3 marca (19 lutego) 1861 r. o uwłaszczeniu włościan została przekształconą w Urząd gubernjalny do spraw włościańskich. Pomijam tu dzieje głównej komisji litewskiej, zgromadzonej w Wilnie; toczyły się w niej zacięte i zażarte spory, w których przeciwnicy reformy w szerszym zakresie wzięli górę: zapadła uchwała o zniesieniu poddaństwa i nadaniu włościanom sadyb tylko bez gruntów z zachowaniem do pewnego stopnia władzy patrymonjalnej.

Ta uchwała reakcyjna, stanowa, tak egoistyczna, a tak niepatrjotyczna i anti-społeczna, wywołała ogromne oburzenie opinji publicznej, zwłaszcza śród warstw najinteligentniejszych; wiadomo jak się oburzyli biskupi litewscy: wileński, Adam Krasiński i żmudzki, Wołonczewski, obaj patrzący w dalszą przyszłość; wiadomem jest oburzenie inteligencji, które wyraził Syrokomla w znanym wierszyku, zakończonym tak:

»O wstyd mi Wilna; nie chcę być Litwinem!
I hańba mojej herbowej pieczęci!« *)

Ale w Petersburgu prądy inne przemogły: nadano włościanom grunty, które oni uprawiali w dniu 3 marca 1861 r. Uchwalono osobną ustawę miejscową, uwzględniającą odrębności ustroju społeczno-ekonomicznego. Wedle niej uświęcono stare prawo zwyczajowe ludu litewskiego, uznające własność rodową: 81 art. Ustawy miejscowej orzeka, że grunty nadają się na własność całej

*) Ks. Ogiński pomimo swoich poglądów był znakomitym gospodarzem i prawdziwym ojcem ludu; w jego dobrach działały prawidłowo zorganizowane sądy, których członków wybierali sami włościanie; wyrokowały one na mocy prawa zwyczajowego. Pańszczyzny prawie nie było bo ją zastąpił czynsz. Książę dla włościan przeprowadził drogi, pobudował szpitale, ochronki, szkoły, a nawet założył bank, w którym było do 100,000 depozytów włościańskich.

*) Wierszyka tego w zbiorze utworów Syrokomli nie ma, ale w wydaniu Syrokomli w przekładzie rosyjskim jest: ta strofka brzmi tak:

»Mnie stydno za Wilno! Nie szlachticz ja rodom!
Pozor mnie s mojeju gerbowoj pieczatju«.

rodziny, acz zapisują się na imię jej zwierzchnika. Zdarzało się, że ojciec i synowie otrzymywali grunty osobno, bo właściwie każdy chłop, samodzielny gospodarz, otrzymał ten grunt, który uprawiał; w tem tkwi przyczyna nierównomierności obszaru osad włościańskich, bo były i takie, które miały 3—4 włóki ziemi, chociaż większość była włókową. Ustawa stworzyła odrębną gminę włościańską, ściśle stanową, obdarzyła ją szerokim samozarządem i samodzielnością sądową w zakresie spraw drobnych i wynikających z prawa własności ukazowej; stworzono osobne odrębne sądy włościańskie z sędziów z wyboru, działających na podstawach prawa zwyczajowego. Pańszczyzna, ale ściśle określona prawem, miała jeszcze trwać do dnia 5 maja (23 kwietnia) 1870 r. Wynagrodzenie za grunty, nadane włościanom, miało być wypłaconem przez skarb w listach likwidacyjnych; włościanie zaś zobowiązani zostali do opłat wykupowych, rozłożonych na 49 lat, zatem w r. 1911, staną się oni zupełnymi właścicielami gruntów nadanych. Przy tej reformie nie przeprowadzono ani komasacji gruntów, ani zniesienia t. z. szachownic, ani uregulowania granic; odkładano to na przyszłość, ale wypadki późniejsze kazały zaprzestać nawet marzyć o czemś podobnem. Reformę przeprowadzali urzędnicy wybrani przez szlachtę miejscową; zwano ich komisarzami do spraw włościańskich.

Można tu postawić pytanie: o ile reformę przeprowadzono prawnie i słusznie bez pokrzywdzenia włościan, bo o krzywdach właścicieli ziemskich, chyba mówić nie można? Trudno odpowiedzieć z całą ścisłością na to pytanie; w każdym razie twierdzenia późniejszych komisarzy do spraw włościańskich, Rosjan, oraz t. z. komisyj weryfikacyjnych, oskarżające komisarzy miejscowych o przeprowadzenie reformy z wielką ujmą dla włościan, są ogromnie przesadzone, ale nie da się zaprzeczyć, że w wypadkach poszczególnych, włościanie tu i owdzie zostali bardzo pokrzywdzeni. Niektóre krzywdy takiego rodzaju nie mogły być usunięte nawet przez komisje weryfikacyjne, które z całego serca pragnęły zrujnować właścicieli ziemskich; nie są one usunięte i dotąd, a niekiedy nawet o nie toczą się procesy nieskończone. W każdym razie na mocy prawa o usamowolnieniu włościan uwłaszczono 30.307 chat, nadając im 554.907 dies. za opłatę roczną indemnizacyjną w ilości 1.554.424·58 rub. Wypadki ówczesne uniemożliwiły prawidłowy przebieg i rozwój reformy, przyspieszając go gwałtownie. Manifest rządu narodowego z dnia 23 (11) stycznia 1863 r., ogłaszający zniesienie pańszczyzny, spowodował już w lutym jej ustanie zupełne. Pozostawało tylko rządowi rosyjskiemu usankcjonować faktyczny stan rzeczy: prawo z dn. 13 (1) marca 1863 r. uczyniło wykup przymusowym i zniosło pańszczyznę z dniem 13 (1) maja tegoż roku. Ale 18 (6) marca ks. Mackiewicz w Podbrzeziu (pow. poniewiezki) rozwinął chorągiew powstania, w którem lud żmudzki brał udział dość czynny, zwłaszcza w niektórych okolicach. Ta okoliczność odezwała się gromkiem echem w Petersburgu; postanowiono przeciągnąć masy ludu na swoją stronę, przeprowadzając reformę w sposób miażdżący właścicieli ziemskich, i w tym celu w dniu 13 (1) kwietnia tegoż roku zapadła uchwała o ustanowieniu komisyj weryfikacyjnych. Po zamianowaniu dyktatorem Litwy Murawjewa marszałkowie szlachty gubernjalni i powiatowi, komisarze do spraw włościańskich i w ogóle wszyscy urzędnicy z wyborów podali się do dymisji z wyjątkiem Felicjana Karpia, marszałka szlachty pow. poniewiezkiego, spełniającego wówczas czasowo obowiązki marszałka gubernjalnego. W połowie maja zwinięto instytucje włościańskie, zawieszono sądy... słowem nastał okres dyktatury wojskowej, niesłychanego terroru, samowoli i okrucieństwa... nastały rządy Murawjewa.

J. Syrokomla.

8)

Gdy lipy kwitły.

Wyszedł z alei i zamierzał na chwilę usiąść pod lipami, popatrzeć na zalaną słońcem okolicę. Zbliżał się już do ławki, kiedy niespodzianie spostrzegł przed sobą Babunię. Według zwyczaju wyszła wczesnym rankiem odmówić koronkę pod lipami. Skończyła właśnie pacierz i ręce złożone opuściła na kolana z pogodnym uśmiechem poglądając na obraz pełnych niw, roztaczający się u stóp pagórka. Usłyszawszy stąpanie, głowę zwróciła i spostrzegłszy Gromskiego, uśmiechnęła się.

— Wczesny z pana ptaszek — zawołała, podając mu rękę na powitanie, — bo nasze śpiochy nie wywczasowały się podobno. Proszę, proszę! miejsca na ławce dosyć; może zechcesz ze mną starą pogawędzić.

Uprzejmym ruchem miejsce mu na ławce wskazywała i uśmiechała się z wielką dobrocią.

Gromski wielką cześć miał dla staruszki; ujmowała go jej dobroć zawsze, a dziś miło mu było znaleść obok niej spokój i chwilowe w my-

ślach rozerwanie. Ze skwapliwością zatem przyjął zaproszenie.

— Coś posępny mi jesteś — mówiła dalej Babunia — widzę to od dni kilku. Czy spotkało pana jakie zmartwienie?

— Zauważyła pani mój smutek? — spytał Gromski, pochylająą się znowu do jej ręki.

— Smutnego człowieka, chociażby najstaranniej krył się, poznać łatwo, choćby po oczach, a pan smutne masz oczy. Cóż to jest, jeśli wiedzieć można?

Lecz zauważała w tej chwili silne zmieszanie Gromskiego i pospieszyła nadać inny obrót rozmowy.

— Nie trzeba się smucić; — rzekła — niejedne rzeczy wydają się smutne i czarne, a w gruncie takiemi nie są; rada na nie jakaś się znajdzie i zło przeminie. Aby tylko dobre chęci i myśl czysta, to koniec końców wszystko na dobre wyjdzie.

Gromski uśmiechnął się smutno.

— Gdybyż to zawsze tak było!

— A twój smutek nie taki? Ech, smutki młodości dobrze się kończą, bo sił jest dużo i czasu dużo, wszystko da się naprawić i przemienić. Aby tylko uczciwie. A z ciebie uczciwy człowiek i porządny chłopak; wyjdziesz i ze swego smutku szczęśliwie, wierz mi!

Tyle było otuchy w tych prostych słowach, że Gromskiemu mimowoli jasno robiło się w duszy. A Babunia szła dalej za swemi myślami.

— Oto Piotr, jak się kłopotał z wiosny, że deszcze mu wszystko wypłuczą, a mówiłam: Pan Bóg miłosierny. I oto: czy wypłukały?

I śmiała się cichutko, wskazując ręką na pełne plony łanów, gotowe do sierpa.

— Urodzaj w tym roku na wszystko, jak rzadko... Toż patrz, — dodała podnosząc nieco głowę — nawet lipy kwitnąć będą obficie. Ile to pęków! Będzie pszczółkom roboty. Dzieci miodu będą miały dość. Wala łakoma na miód, jak mucha! — zaśmiała się cichutko, lecz wnet nie chcąc krzywdzić innych, dodała: o, ale i inne lubią, bardzo lubią, a dzieciaki!... — Mówiła tak o maluchnych prawnuczkach i wyraźnie w myśli jej powstał obraz rumianych buziaków, rozkoszujących się wonnym miodem lipcowym.

A potem, zwracając się wprost do Gromskiego, rzekła:

— A wiesz pan? Ludzie dawniej powiadali, iż rok, w ktorym lipy obficie kwitną, szczególnie jest szczęśliwy do małżeństwa.

Gromski poruszył się niespokojnie.

— Tak, tak — powtórzyła staruszka. — I myślę, że może to prawda. U nas naprzykład, te stare lipy zawsze szczęście przynoszą. Co prawda, w rodzinie naszej nigdy nie słychać było o swarach, rozterkach, lub Boże strzeż, o czemś zdrożnem... Może to i niekoniecznie lipy... Ale pod ich cieniem — i uśmiechnęła się znowu, spoglądając na namiot liściasty — wiele, wiele weselnych chwil było. Tuśmy pierwsze zdrowie za Helenkę i jej męża wypili, tu mi Piotr naprzód z małżonką swoją zapoznał, tu i brat męża mego, jak wrócił z pod Bema... A lipy zawsze wówczas pięknie kwitły, pamiętam. Chciałabym, aby i wówczas, kiedy Wala...

Szybkie kroki w alei przerwały marzenia staruszki. Zwróciła głowę i u wyjścia z alei spostrzegła tę, na której imieniu w marzeniach stanęła.

Zaśmiała się Babunia cichutko i zwróciła się do Gromskiego.

— Właśnie i ona, jak zaklęciem wywołana. A pójdźże no to, pójdź prędzej, kiedyś zaczarowana...

Wala zaciekawiona przyspieszyła kroku i gdy wpadła pod lipy znalazła się nagle tuż obok Gromskiego. Nie spodziewała się go spotkać; stanęła na miejscu i nagły rumieniec pokrył jej policzki.

Gromski patrzał na nią już od chwil kilku. Jasną była jak świeży poranek, różowa jeszcze ze snu, z oczyma jakby rzeźwiącą rosą spłukanemi. Tak miły uśmiech jaśniał na jej twarzy, tyle z nią szło słodyczy, wiosny, ukojenia, iż Gromskiemu marzenia znów w myśli grać zaczęły. Gdy stanęła obok niego, nie podał jej ręki na dzień dobry jak zwykle, a tylko sięgnął po jej spuszczoną dłoń i podniósł ją do ust zwolna, tonąc w jej oczach miękkiem, rzewnem wejrzeniem. Wala ręki mu nie odebrała i oczu nie spuściła, a patrzyła nań również promiennie; lecz tak tęskny uśmiech wypłynął jej na usta, że Gromskiemu serce szarpnęło się w piersi. Wzrok mu się zapalił i chciałby już pytać o coś, lecz ona rękę z dłoni jego wysunęła, cofnęła się za ławkę o pień drzewa plecami się wsparła i bladnąc lekko, pochyliła twarz nad głową babki.

— Cóż tam, Waluniu? — spytała Babunia, udając, że nie widzi — czy kawa już gotowa?

— Właśnie przyszłam prosić babunię na kawę — odrzekła Wala z cicha, i w głowie jej wyraźnie brzmiały tłumione łzy.

Lecz babunia i tym razem kompletną dyskrecją pokryła wzruszenie »dziecka« i rzekła spokojnie:

— A no, to chodźmy, bo już wielki czas. — Powstała z ławki, wzięła Walę za rękę, uśmiechnęła się do Gromskiego i wszystko troje weszli w milczeniu w aleję.

Jeszcze wszyscy nie byli się zeszli na śniadanie, kiedy Wala w milczeniu przełknąwszy swoją kawę, wynalazła jakąś nieodbitą potrzebę zajrzenia do kuchni i przywoławszy pannę wybiegła z pokoju. Po niedługiej chwili i Gromski, któremu śniadanie jakoś w smak nie szło, skorzystał z ruchu jaki powstał przy pojawieniu się nowych osób i wymknął się nieznacznie przez werandę do ogrodu. Coś mu mówiło, że w głębi tej samej alei, którą przechodzili przed chwilą marzący i smutni, znajdzie i teraz Walę. Jakoż zaledwo stanął u wejścia, spostrzegł ją w długiej perspektywie zieleni.

Szła zwolna, skubiąc ręką wyniosłe mietlice traw gdzieniegdzie brzegiem alei rozsiane, a z góry słońce złote migotliwemi plamami padało na jasną jej głowę i w blaski promienne ubierało.

Spostrzegłszy Gromskiego pierwszym instynktem rzucić się do ucieczki chciała, lecz wiedząc, że wprost do niej pospiesza, zatrzymała się i czekała, z wysiłkiem powstrzymując drżenie palców, któremi źdźbło urwanej trawy szarpała.

Gromski stanął przy niej.

Był blady, zbielałe wargi drżały mu tak silnie, że słowa przemówić nie mógł. Wnet jednak oczy błysły mu stanowczym wyrazem, opanował wzruszenie i głos nieco zniżając zwolna przemówił.

— Pragnąłem pomówić z panią.

Wala zawróciła w milczeniu i poszli dalej w głąb alei.

— Pewno pani się domyśla, o czem chcę mówić — zaczął Gromski. Nie możesz chyba pani nie wiedzieć, czem stałaś się dla mnie. Ale ja nie wiem, czego mam oczekiwać — jesteś pani taka nieuchwytna... lecz czasem mi się zdaje, że nie byłabyś mi przeciwną, że pozwoliłabyś mi prosić.

Pochylił się i zajrzał w jej twarz schyloną, a widząc, że mieni się w twarzy, dokończył żywiej ze szczerem uczuciem.

— Gdybym panią bardzo prosił... gdybym ci powiedział, że jesteś mi szczęściem jedynem na świecie, że życie oddam aby ci również szczęścia przychylić — czy nie odmówisz mi? czy podasz mi rękę, aby być moją na wieki, moją żoną, moją ukochaną.

Wzrokiem zawisł na jej ustach. Lecz Wala milczała.

— Milczysz pani? Wahasz się? — podchwycił z niepokojem.

Wala zaś milczała nie dlatego, iż nie miała jasnej i krótkiej odpowiedzi, która jej z głębi serca na usta się wydzierała, lecz że doszczętnie straciła z pamięci wszystkie te słowa, które przygotowała aby go przekonać i dostatecznie ugruntować swoją odpowiedź.

A jemu w myśli przelatywać zaczęło przeczucie odmowy; zaczęło go ogarniać przerażenie, chciał w jednej chwili widzieć swoją przyszłość.

— Proszę, — zawołał żywo — niech tylko pani będzie zupełnie szczerą; niech pani powie, nie to co myśli, lecz to, co czuje.

Zarumieniła się, jakby złowiona na gorącym uczynku, widząc jednak, że zwlekać nie może, odparła:

— Tak, będę zupełnie szczerą; wszak tylko przy zupełnej szczerości będziemy mogli porozumieć się należycie.

»Nie mówiłaby tak, gdyby nie miała zamiaru odmówić«, przemknęło w myśli Gromskiego i uczuł, że świat zaczyna wirować mu przed oczyma.

— Słucham — rzekł głucho.

Wala mówiła z cicha:

— Pan mówisz o szczęściu — mnie się te rzeczy przedstawiają inaczej. Mnie się zdaje, że ani pan, ani ja, nie znaleźlibyśmy szczęścia we wspólnem życiu. Owszem, własnemi rękami przysposobilibyśmy sobie nieszczęście.

— Co do mnie, nie; niech pani mówi o sobie — rzekł z goryczą.

— Owszem, i pan — powtórzyła — Byłbyś pan nieszczęśliwy również, mając przy sobie kogoś, ktoby bez żalu nie potrafił wstecz patrzeć!

— A! — jęknął głucho, cofając się.

— Proszę! niech pan słów moich nie tłumaczy inaczej, niż je mówię, — zawołała z gorącą prośbą, podnosząc na niego pełne żalu oczy. Proszę mnie wysłuchać do końca. Myśmy zanadto różni, zanadto wielka przestrzeń nas dzieli, aby nam mogło dobrze być razem.

— Co pani masz na myśli?

— To, co dla każdego człowieka jest najświętszem: jego przekonania, jego cele, jego droga, po której pragnie iść.

— Jakaż może być pani droga, tak dalece różna od mojej? — spytał z wzrastającą goryczą.

— O, wielce różna! zawołała, i nie pamiętając nic wcale z długiej przemowy, jaką przygotowała, mówić zaczęła po prostu, jak czuła i rozumiała w tej chwili.

— Dla mnie najmilszem jest to, co mnie otacza. Bardzo maluczka jest tu moja robota, lecz spełniam, to co umiem i co mogę i zdaje mi się, że trochę jestem pożyteczna. Nie tracę nadziei, że z czasem pracować będę mogła trochę szerzej, nie tylko dla naszej jedynie wioski. Wierzę, że tak robić powinnam i taką iść drogą a nie inną, i jestem spokojna. A zdaje mi się, że nie znalazłabym nigdy spokoju, gdybym dla rzeczy... — zawahała się — choćby najmilszych, porzuciła to, w co wierzę, że słusznem jest, i co spełniać powinnam. Życie nie jest igraszką; bałam się zawsze, aby mi nie zeszło na marne, bez żadnej dla ludzi korzyści i dla tego, co naszym jest najpierwszym obowiązkiem. Więc zatem myślę: jeśli pójdę inną drogą, jeśli będę wiedziała, że żyję, życiem marnem i tracę siły bezużytecznie, będę wiecznie się tem truć, a wówczas szczęścia nie przyniosę nikomu.

Zamilkła, spuściła głowę i znowu gorączkowo szarpać poczęła w palcach zerwany kwiat.

Gromski patrzał na nią chwil kilka.

— Więc taka filozofja...? — rzekł z goryczą. Zmieniłaś się pani bardzo, dodał z powagą.

— Od owego czasu? Gdy byłam dzieckiem? — spytała żywo?. — Tak, zmieniłam się; i pan również. I dla tego, żeśmy się tak bardzo oboje zmienili, żeśmy się rozeszli w dwie przeciwne strony — dlatego tak wielka przestrzeń nas dzieli i dlatego razem iść nam niepodobna.

(C. d. n.)

Wanda Dalecka.

BRACIA MAŁEGO MOWGLI *)

przez **Rudyarda Kiplinga.**

Przekład z angielskiego.

Była siódma wieczorem po dniu upalnym, gdy ojciec Wilk obudził się ze swojej dziwnej drzemki. Ziewnął i przeciągnął łapy zdrętwiałe. Matka Wilczyca siedziała z nosem wsuniętym w kłębek, utworzony z czterech młodych wilcząt. Księżyc wpadał przez otwór do jaskini, w której żyła ta wilcza rodzina, a było to na wzgórzach Seconec.

— Aughr! — mruknął ojciec Wilk. — Czasby już wyjść na łowy.

I chciał już wybiegać na dolinę, gdy mały cień o kudłatym ogonie zastąpił mu drogę i szczeknął:

— Powodzenia, wodzu wilków, powodzenia i silnych kłów twoim szlachetnym potomkom. Oby nie zapominały o głodnych tego świata!

Był to Szakal-Tabakwi, ogryzacz kości. Wilki indyjskie gardzą Tabakwim, albowiem wszędzie go pełno, znosi plotki i wyjada niedogryzki i ochłapy ze śmietników przy wioskach.

Ale też boją się go wszyscy, gdyż Tabakwi łatwiej od innych mieszkańców dżungli podlega wściekliźnie, a wtedy nie boi się już nikogo i biega po lesie i kąsa na prawo i lewo.

Nawet Tygrys ucieka, gdy mały Tabakwi dostanie wścieklizny. Wścieklizna jest największą sromotą, jaka może spotkać dzikie zwierzę.

My nazywamy ją wodowstrętem; w języku zwierząt zowie się ona *dewanee* — szałem i budzi wstręt i postrach.

— No, wejdź i przeszukaj kąty — odpowiedział ojciec Wilk wzgardliwie. — Ale cię uprzedzam, że niema nic do zjedzenia.

— Dla wilka, zapewne — rzekł Tabakwi — ale dla tak marnej osoby, jak moja, sucha kość bywa ucztą. My *Gidur-log* (naród szakalów) nie mamy prawa być wybredni. Bierzemy, co się pod łapę nawinie.

Wśliznął się do jaskini; w głębi jej znalazł ogryzioną kość sarnią i zaczął ją chrupać łapczywie.

— Dzięki za taką ucztę — rzekł wreszcie, oblizując się łakomie. — Śliczne dzieciny, choć jeszcze tak małe! Ha! Zapominam, że dzieci królów dorosłe są już w kolebce.

Otóż Tabakwi wiedział, tak jak i my wiemy, że niema nic gorszego, jak chwalić malców w oczy, i rad był, że te pochwały gniewają ojca Wilka i matkę Wilczycę.

Tabakwi przez chwilę siedział, ciesząc się z wyrządzonej przykrości, wreszcie dodał złośliwie:

— Wielki Shere Khan zmienił plac łowów. O przyszłej jesieni będzie ścigał zwierzynę na tych wzgórzach. Sam mi to powiedział.

Shere Khan był to tygrys, grasujący nad rzeką Waingungą, o dwadzieścia mil powyżej.

— Nie ma prawa — zaczął ojciec Wilk ze złością. — Wedle ustaw Dżungli, nie ma prawa zmieniać legowiska nie uprzedziwszy wpierw gromady. Wystraszy całą zwierzynę o dziesięć mil dokoła, a ja... ja muszę teraz zabijać za dwoje.

— Niedarmo rodzona matka nazwała go Lungri (Kuternoga) — wtrąciła spokojnie Wilczyca. — Koszlawy jest od urodzenia i dlatego może polować tylko na bydło. Wieśniacy z Waingunga są na niego wściekli, więc przychodzi tutaj, żeby naszych rozłościć. W pogoni za nim całą dżunglę przetrząsają... On ujdzie cało, ale za to my i nasze dzieci będziemy musieli umykać, gdy trawy zapalą. Zaiste powinniśmy być wdzięczni Shere Khanowi.

— Czy mam mu wyrazić tę waszą wdzięczność — pytał Tabakwi złośliwie.

— Precz! — wrzasnął ojciec Wilk. — Precz mi ztąd natychmiast. Ruszaj na łowy z twoim panem. Narobiłeś już dosyć złego na dzisiaj.

— Odchodzę — rzekł Tabakwi spokojnie. — Żałuję, żem się podjął zlecenia.

Ojciec Wilk nasłuchiwał. Od doliny, zroszonej rzeczką, leciała gniewna skarga tygrysa, który nic nie ułowił i całej dżungli to oznajmił bez wstydu.

— Głupiec! — mruknął ojciec Wilk. — Kto słyszał takim wszaskiem rozpoczynać nocną robotę. Czyż sądzi, że nasze kozły są na podobieństwo tłustych wołów z Waingungi?

— Cyt! On dziś nie ściga ani kozła, ani wołu, tylko człowieka — rzekła matka Wilczyca.

Skarga przeszła w pomruk. Dochodził on jakby ze wszystkich stron dżungli jednocześnie. Ten pomruk zbija z tropu drwalów i koczowników i wpędza ich czasem w samą paszczę tygrysa.

— Człowieka! — zawołał ojciec Wilk, błyskając białemi zębami. — Czyż mu zabrakło owadów i żab w sadzawkach, że zjada człowieka i to na naszym gruncie?

Ustawa dżungli, której każde prawo jest słuszne, zabrania zwierzętom zjadać człowieka. Dozwolonem to jest tylko na próbę, żeby pokazać dzieciom, jak się na taką zwierzynę poluje, a i wtedy ściga się łup dwunożny po za obszarami, należącymi do gromady lub plemienia.

Przyczyną istotną takiego rozporządzenia jest dbałość o własną skórę, albowiem po takich ło-

*) Ze zbioru nowel pod tytułem: »Księga Dżungli«, cieszących się, jak wszystkie utwory tego słynnego autora, ogromną we wszystkich krajach cywilizowanych poczytnością.

wach na człowieka, w dżungli zjawiają się niebawem ludzie biali na wielbłądach, ze strzelbami i ludzie brunatni, zbrojni w zapalone pochodnie. A wtedy biada całej dżungli...

Taki jest powód istotny. Ale zwierzęta pomiędzy sobą przytaczają inny zgoła, tłómacząc, że skoro człowiek jest najsłabszem i najbezbronniejszem stworzeniem na świecie, to porywać się na niego jest rzeczą niegodną zwierzęcia.

Przekładają dalej, i to prawda, że zjadacze ludzi dostają parchów i tracą zęby.

Mruczenie stawało się coraz głośniejsze i przeszło wreszcie w ryk nacierającego tygrysa.

Nagle Shere Khan zawył, zawył boleśnie, co nie licuje z jego godnością.

— Nie udało mu się — objaśniła matka Wilczyca. — Co to znaczy?

Ojciec Wilk podbiegł do otworu i usłyszał dziki pomruk i wściekłe szamotanie się Shere Khana w zaroślach.

— Głupiec wpadł w ognisko drwalów i łapy sobie poparzył — burknął ojciec Wilk. — Tabakwi jest już przy nim.

— Coś człapie się pod górę—szepnęła matka Wilczyca, strzyżąc uszami. Miejże ty się na baczności!

Zaszeleściało w gęstwinie Ojciec Wilk zebrał się do skoku, ale w chwili tej ukazało mu się coś tak dziwnego, że osłupiał, a nie mogąc już wstrzymać rozpędu, zamiast naprzód skoczył o kilka stóp w górę i spadł na tem samem miejscu, na którem stał przed chwilą.

— Człowiek! — warknął. — Mały człowieczek. Patrzaj!

Istotnie stało przed nim dziecko goluteńkie, smagłe, zaledwie mogące utrzymać się na nogach, najmilsza, najpulchniejsza kruszyna, jaka kiedykolwiek przybyła do jaskini wilczej wśród nocy.

Człowiek spojrzał ojcu wilkowi prosto w oczy i zachichotał.

— Czy to dziecko człowiecze? — zapytała Wilczyca. — Pierwszy raz coś podobnego widzę. Dawaj go tutaj!

Wilk, przyzwyczajony do noszenia własnych dzieci, może wziąć w pysk jajko i nie rozbić go. Choć więc szczęki ojca Wilka zwarły się zupełnie na pleckach dzieciny, skóra była niedraśnięta, gdy położył dziecko między swojemi,

— Jakież ono malutkie! jakie gołe! A jakie odważne! — zachwycała się Wilczyca.

Malec razem z wilczętami przytulił się do jej ciepłego łona.

— Ho, ho! I on chce się pożywić. Więc to dziecko człowieka! Czyż która wilczyca na świecie może się pochlubić, że miała dziecko ludzkie pomiędzy swojemi?

— Słyszałem już niegdyś o czemś podobnem, ale nie zdarzyło się to w naszej gromadzie, ani za naszych czasów — rzekł ojciec Wilk. — Ten mały nie ma ani jednego włoska na ciele, mógłbym go zabić jednem kopnięciem. Ale spojrzyj-no, patrzy mi prosto w oczy, nie boi się.

Blask księżyca zgasł nagle w otworze jaskini, bo go zasłonił kwadratowy łeb Shere Khana. Tygrys próbował się wcisnąć, ale nie mógł. Po za nim Tabakwi zapiszczał:

— Wasza dostojność, wasza dostojność! On tam się wsunał.

— Shere Khan robi nam wielki zaszczyt — rzekł ojciec Wilk z oczyma, błyszczącemi złośliwie. — Czego sobie Shere Khan życzy?

— Chcę mojego łupu. Dziecko człowiecze weszło tutaj. Rodzice umknęli. Dawaj mi go zaraz!

Ojciec Wilk dobrze się domyślił. Shere Kahn wskoczył istotnie w ognisko, rozniecone przez drwalów i łapy sobie strasznie poparzył, co go doprowadzało do wściekłości. Ale ojciec Wilk wiedział, że otwór jaskini jest za wązki dla tygrysa.

Już i tak, u samego wejścia Shere Khan był jakby wzięty w kleszcze. D. c. n.

Z pism i książek.

Poradnik dla samouków. Część II. Nauki filologiczne. Nauki historyczne. Pod redakcją Piotra Chmielowskiego, Ludwika Krzywickiego i Adama Mahrburga przy współudziale grona specjalistów. Wydawnictwo Aleksandra Heflicha i Stanisława Michalskiego. Warszawa. Druk K. Kowalskiego 1899.

Drugi tom warszawskiego „Poradnika dla samouków" zawiera w dziale „Nauk filologicznych": językoznawstwo ogólne (Jan Karłowicz), język polski, (Antoni Kryński), literaturę (P. Chmielowski), stylistykę (S. Mieczyński), poetykę (Br. Chlebowski), krytykę (P. Chmielowski), język francuski (K. Appel), język niemiecki (W. Osterloff), język angielski (H. Benni) i filologję klasyczną (M. Rowiński). Dział „nauk historycznych" obejmuje: wstęp (L. Krzywicki), historję powszechną (T. Korzon i S. Askenazy), historję polską (W. Smoleński), historję literatury powszechnej (E. Grabowski), historję literatury polskiej (P. Chmielowski), historję sztuki (J. Matuszewski), historję nauki (A. Mahrburg), historję rozwoju społecznego (L. Krzywicki), i historję filozofji (A. Mahrburg). Poszczególne gałęzie wiedzy opracowane są tak, jak w I-ym tomie „Poradnika" tj. mamy zawsze odnośny wstęp — opracowany umiejętnie i bibliografję danego przedmiotu, rozdzieloną na działy — a mianowicie na dział, polecony samoukom początkującym, wyższego stopnia i dla ludzi, którzy już zamierzają w danej gałęzi wiedzy pracować samodzielnie. Pośród wstępów, stanowiących pouczenie dla samouków, uderza wstęp p. Rowińskiego. Autor bierze w obronę filologję klasyczną, ale bez... powodzenia. W dziale historycznym, wstępy są z natury rzeczy bardziej wyczerpujące i interesujące, osobliwie pp. Chmielowskiego, Mahrburga i Krzywickiego. Bibliografja podręczników z dzieł poleconych zestawiona jest w ramach cenzuralnych skrupulatnie i ponadto zaopatrzona miejscami w uwagi krytyczne, odnoszące się do krajów poszczególnych. *Dr. K. J. Gorzycki.*

Z „Drukarni Udziałowej" we Lwowie, ul. Lindego 8.